

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok: VI

Gorzów n/W., niedziela 27 maja 1951 r.

Nr 18

O nieznajomości Boga

Obecnie często słyszymy o tym, że Bóg jest nieznany i cieszymy się z tego. Zawsze lepiej świadczy o pobożności epoki, jeśli uwydatnia się świadomość tego, że Bóg jest nieznany, niżby miało panować przekonanie, że wiele o Nim wiemy i gdyby śmiało twierdzono, że jest tym lub owym, że tak postępuje się względem Niego słusznie, a tak niesłusznie...

Oczywiście jest wielka różnica w tym, jak się to mówi, że Bóg jest nieznany: czy powodujemy się przy tym pobożnością, czy sceptycyzmem, czy też obojętnością...

Lecz czy to rzeczywiście prawda, że Bóg jest nieznany. Bóg, o którym ciągle mówimy, na którego się powołujemy, do którego się zwracamy?

Przecież On stworzył świat. Powiedziano przecież, że: „niebiosa głoszą Jego chwałę...” I że „ze świata widzialnego można poznać, czym jest Bóg niewidzialny...”

Więc jakże jest z tym naprawdę? Powiedz więc: Gdzie we świecie natrafisz na Boga? Czyż nie jest tu wszystko napelnione górami i równinami, drzewami i zwierzętami, domami i przedmiotami, powietrzem i światłem? Gdzie jest puste miejsce, w którym by Bóg się znajdował? Odpowiesz: Tak nie można mówić. Przecież On jest wszędzie. Wszędzie — z pewnością — ale gdzie natrafisz na Niego? Jak poznam, kim jest? Powiadasz: Rzeczy zostały przez Niego stworzone i są obrazem Jego wspaniałości. Przez nie On się objawia, lecz co one o Nim mówią? Mogą przecież powiedzieć tylko, czym są same.

Drzewo może mówić: Mój pień sterczy, moje gałęzie rozpościerają się, moja korona tworzy sklepienie, potężne życie pulsuje we mnie — i to wszystko — ale czy powie: jest Bóg? z pewnością nie. Powie ono: Mój prawzór jest w Bogu. Lecz zaraz potem: O, czy wiecie, on jest czymś zupełnie różnym od Boga.

To drzewo jednocześnie objawia Boga i zasłania Go. Wszystkim czym jest, mówi o Bogu „tak”, lecz zaraz i „nie”.

Weź jednak inny świat, wewnętrzny. Co to jest ten świat wewnętrzny? Jak tam wygląda? Czy i on nie jest zapelniony? Wprawdzie nie górami i drzewami, ale myślami, przedstawieniami, pożądaniami i chęciami, radością i niedolą wszelkiego rodzaju doznaniem? Czy jest tam jakie miejsce, w którym by przebywał Bóg? Czy zostało dla Niego jakieś wolne miejsce? Czasem się tak mówi, ale to nieprawda. W świecie wewnętrznym tak samo nie ma próżni jak w zewnętrznym; i on jest wypelniony rzeczami skończonymi. O nim także nie można powiedzieć, by zawierał jakieś specjalne miejsce, w którym by przebywał Bóg, zamiast jakiegoś przedmiotu; jest on pełen rzeczy tego świata. Lecz w tych wszystkich rzeczach jest Bóg i przenika je; one Go jednocześnie objawiają i zasłaniają. Bo radość człowieka jest Jego obrazem, tak samo jak głęboka cierpienia i jasność poznania, to pewne. Lecz on jest czymś innym niż to wszystko, czymś niewypowiedzianym różnym.

Oczywiście nie wszystkie rzeczy mówią o Nim równie wzniośle. Niektóre mówią o kraju Jego szaty, inne o potędze Jego rąk; jedne pozwalają odgadywać mądrość Jego myśli, drugie zaś głębłą Jego serca. Są w świecie wewnętrznym sprawy, które mówią o szczególnie głębokich dziedzinach natury Bożej — zawsze głosząc jednocześnie tak i nie.

Weźmy naprzód sumienie. Jest ono głosem Boga w sercu. Lecz cóż takiego mówi sumienie, byśmy stąd mogli poznać kto przemawia? Który z rodzajów mowy należy do Boga? Sumienie przynagla, aby zrobić to, unikać tamtego. Znajdujemy w nim hamulce, opory, popędy, często ich zawikłaną płataninę... Bardzo trudno to wszystko odcyfrować... Z pewnością sumienie jest głosem Boga — ale czyż nie jest ono zbyt często ciemne i chwiejne? I kim jest On sam, który przemawia?

Mówiąc także: Serce czuje Boga. To znowu prawda; ono Go czuje. Ale co czuje ono o Nim? Jeśli zapyta, gdzie jest On dla ciebie? Wtedy mogłoby jedynie odpowiedzieć: „tu, wszędzie, nigdzie...” Jaki jest On dla ciebie? Nie wiem. Chociaż coś wiem o tym. Gdy chcę to wyrazić dobieram najszlachetniejszych słów, jakie tylko istnieją, słów zdrowych z najcisłajszego współżycia pomiędzy ludźmi... w nie wkładam swoje wyznanie. Lecz jeśli chcę być uczciwy, muszę dodać: jest tak „jak gdyby...”



MATKA NAJMILSZA.

Czy nie odczuwam Bożej ręki pod swoim własnym istnieniem? Jeśli wstąpię w siebie w samo dno, gdy dojdę tam, gdzie granicze z niczym? Czyż nie On tam stoi i nie dźwiga mnie? Czy mnie nie podtrzymuje? Czy nie zapewnia mi miejsca i bezpieczeństwa?

Kiedy pójdę wstecz za biegiem mojego życia i dotrę do chwili, w której zaczęło się moje istnienie, tam Go znajdę! Tak, lecz czy zobaczę Jego oblicze? Moje żyjące serce czuje tu tajemnicę wytryskającą z Jego twórczego słowa. Ale ciemność panuje tam, gdzie się ona dokonała. Idźmy naprzód: Nadzieja obiecuje mi, że idę do Niego. Przyjdzie kiedyś godzina, w której wszystko będzie bramą do Niego; za bramą stoi On; myśl moja się budzi; znudzona, a jednak pełna radosnego oczekiwania: „kiedyś...”. Tak, ale tymczasem stoi On za bramą. Między tymi dwoma chwilami napina się przedza mego życia, jednocześnie zawiązana i uporządkowana; budzi zaufanie i przestach, napienia uczuciem spokojnej myśli i zarazem niepewnością, troską, tęsknotą, czcią, przesytem, oburzeniem — powiedźże czy mogę powiedzieć: Taki jest Bóg, który się w tym przejawia?

Co oznaczają wszystkie przymioty, które przypisujemy Bogu, gdy się do Niego stosuje? Kiedy się powie, że jest sprawiedliwy, cierpliwy, mądry? Wiemy co znaczy gdy się powie o człowieku że jest sprawiedliwy. Odczuwamy już pewną chwiejność w zastosowaniu tego określenia do bardzo wielkiego człowieka. Co jednak znaczy dokładnie „sprawiedliwy”, jeśli idzie o Boga? Czy sens tego słowa nie ginie wtedy w bezsensie? Czy wszystkie wypowiedzi o Bogu nie są sposobami, przez które przepaść nieznanego Boga wyrzyna nam z rąk i z ust ludzkie słowa i ludzkie znaczenia?

Dotąd mówiliśmy ciągle o przejawianiu się Boga poprzez byt świata — lecz czy Bóg nie objawił się historycznie przez swoje wyraźne słowa? Czyż nie objawił w żyjącej postaci Jezusa Chrystusa tak, że „któ je widział, widział Boga”?

Z pewnością, to jest objawienie nad objawieniami: Bóg stał się tym, czym my jesteśmy, abymy Go mogli zrozumieć. Istotę swoją przetłumaczył na język naszego bytu, abymy rozumiejąc to żyjące słowo naszego bytu, mogli dosłyszeć to, co nam chciał wytłumaczyć. To jest nieskończenie prawdziwe. Lecz czyż przez to nie zasłonił się jeszcze głębiej, niż gdyby — weź te słowa za to czym są, za wyraz naszej beznadziei — niż gdyby „pozostał w niebie”? Czyż przez to, że do nas przyszedł, nie oddalił się na większą odległość niż ta, w której się zdawał być przedtem? Zważ swoje myśli! Zrozumiej przecież sens słów: „Bóg stał się człowiekiem”. Cóż to ma znaczyć? Wiekuisty Bóg — doczesnym stworzeniem... nieskończony Bóg istotą ograniczoną w przestrzeni... wszechmocny Bóg — człowiekiem, którego gwałtem ujęto, związano, umęczono i zabito... czy nie czujesz, że właśnie to, co jest nam bliskie, że właśnie to co rozumiemy, co jest ludzkie, przykrywa zasłoną Boga? Korci nas jest powiedzieć, coś takiego jest niemożliwe. Św. Paweł mówi o działaniu Boga. Mówi: całe twoje chrześcijaństwo jest łaską.

Tak już jest: On jest nieznanym Bogiem. Św. Tomasz z Akwinu napisał na początku swej nauki słowa o Bogu: „Czym Bóg jest, nikt nie może wiedzieć.

Wielki nautyciel spraw Bożych wiedział, że pobożna mowa o Bogu poczyna się od pokornego wyznania: On jest nieznan.

Jest jednak nieznaną osobą szczególnego rodzaju. Postawmy w ten sposób pytanie: gdyby Bóg był całkiem „znany”, czy byłby dla nas tym, czym Bóg jest dla nas? Nie. W pewnym sensie nie wchodziłby dla nas

wogóle w rachubę. Byłby naszej miary. Czujemy dokładnie, że znany w ścisłym tego słowa znaczeniu, w ogóle być nie może. Jego boskość jest przyczyną, że nie możemy Go przeniknąć, wyuczyć się Go. Jest to jednak nieznaną osobą szczególnego rodzaju. Jest to znana niewiadoma. Nie znam Go, lecz dużo wiem o Nim. Wszędzie się zaslania, lecz zewsząd się wychyla.

Dziwne słowa wypowiada św. Paweł mówiąc: „Bóg mieszka w świetle, do którego nikt nie może dotrzeć”. Tam jest bezdroże, bezdroże dla wzroku, który idzie torami światła...

Wiedza, która jest niewiedzą... bliskość, która się oddala... teraźniejszość, która się wymyka... Czujemy dobrze: musi tak być, bo On jest Bogiem. Natarczywość delikatna i potężna siła z jaką się to narzuca uczuciu — oto żywotność Boga.

On się przybliża... On się otwiera... On wszystko przenika... On jest właściwą rzeczywistością — lecz właściwie dlatego jest od nas daleki. Dlaczego? Nasza skończoność Go zasłania. To my wnosimy ową chwiejność, owo tak i nie; to ukrycie w Objawie-

niu. Nasza skończoność to sprawa, nasza małość, i nie zapominajmy o tym, nasz grzech.

Im głębiej zrozumiemy, że jest Nieznany, tym będziemy bliżsi. Im goręcej ku Niemu sięgamy, i boleśniej odczuwamy, że się wymyka. On, żyjący, tym żywiej jesteśmy przy Nim. Im bliżej przy wszelkim określeniu stoi zastrzeżenie: „On nie jest taki, On jest czymś innym”; im głębiej zbliżenie przemienia się w tęsknotę pod działaniem przeświadczenia o Jego oddaleniu; im płomienniejsze szczęście z posiadania Go przeradza się w ogołocenie przez świadomość, że przypadła nam w udziale dopiero nadzieja tylko, im czystsza i serdeczniejsza jest skruca za grzechy oddalające od nas Boga — im czystsza jest wiedza o Jego ukryciu, tym częściej znamy Boga.

Czy chcesz te słowa pełne zająknięcia przyjąć tak jak zostały pomyślane? Nie jako wykład, nie jako naukę, lecz jako usiłowanie zwrócenia uwagi na ową jedyną, świetlistą ciemność.

Guardini.

Ż Y C I E

Żadne chyba zjawisko nie doczekało się tylu sprzecznych ocen, co życie człowieka na ziemi. Życie jest pasmem nieszczęść, życie jest walką, ustawiczną pogonią za szczęściem, życie to szukanie prawdy, ścieranie się ludzkich egoizmów.

Oto jakie oceny spotykamy na porządku dziennym. Każda z nich zawiera zakąś cząstki prawdy, ale zupełnie niesłusznie z racji posiadania tej cząstki pretenduje do miana wyczerpującej, absolutnie pewnej definicji życia. Takiej definicji nie ma. Dość wspomnieć, że zgola inną treść pod pojęcie życia podkładać będzie człowiek niewierzący, niż wierzący, że nawet wśród ludzi stojących na innej płaszczyźnie światopoglądowo-etycznej oceny mogą być diametralnie różne, w zależności od tego, z jakiego punktu widzenia będą życie rozpatrywali. Złożoność życia, bogactwo typów ludzkich, różnorodność ideologii i religii uniemożliwiają wręcz postawienie jednej, ogólnej uznanej, wszechludzkiej definicji życia.

Życie pasmem nieszczęść? Owszem. Zdarsza się, że i tak. Dla innych natomiast jest wstęgą radości, powodzeń, rozkoszy. Jeszcze inni będą je pojmowali jako pogoń za szczęściem, za prawdą, a może też jako systematyczną dążność do Boga. I bodaj, że ci ostatni mają najwięcej racji, bowiem człowiek czy chce, czy nie chce, z każdym dniem zbliża się do swego Stwórcy i tylko od walorów moralnych człowieka zależy, jaki przebieg będzie miało to spotkanie.

Jakaż jest chrześcijańska koncepcja życia? Wiemy, że Pan Bóg nigdy nie obiecywał człowiekowi wielkich rozkoszy. Raczej przeciwnie. Mamy spożywać w pocie czoła codzienny chleb, borykać się z trudnościami, ustawicznie walczyć o byt, czuwając jednocześnie, aby nasza działalność szła po linii Boskich zamierzeń i planów. Na barkach człowieka ciąży duży ładunek odpowiedzialności. Nie tylko za siebie. Za współbłżnich, za rodzinę, za społeczeństwo, nawet za całą ludzkość. Żaden nasz uczynek nie odbywa się w próżni. Każdy wywołuje dalekosiężne, czasami nieprzewidziane, skutki. Ludzkość bowiem stanowi jedną, silną, powiązaną całość, jeden organizm pulsujący życiem milionów istnień. Stąd olbrzymia odpowiedzialność człowieka za każdy dokonany czyn i wypowiedziane słowo.

Katolicka koncepcja życia jest stosunkowo prosta. U podstaw jej leży fundamentalna prawda wiary o życiu pozagrobowym

oraz istnieniu pozaludzkiej, niepojętej Boskiej sprawiedliwości.

Jeśli po śmierci czeka nas wieczność, jeśli dusza ludzka nie umiera, to jasne, że nasze ziemskie bytowanie nie może być skończoną całością, o granicach wyznaczonych faktami narodzin i śmierci. Jest natomiast życie ludzkie wielką próbą. W tej próbie obnaża się wartość człowieka, jego zdolność radzenia sobie z całokształtem zagadnień tkwiących w rzeczywistości przyrodniczej, społecznej i każdej innej. Próba ta okaże, czy człowiek sam znajdzie drogę do Boga i na jakich podstawach oprze swój stosunek do Niego i bliźnich. Tu na ziemi człowiek zdaje egzamin z etyki. Tu wypracowuje lub odsuwa od siebie szczęście przyszłe. Próba nie jest łatwa. Trzeba umiejętnie szafować skarbem zdolności otrzymanych od Boga z myślą o tym, że kiedyś nastąpi Wielkie Rozliczenie.

Niewłaściwe rozumienie sensu i celu ludzkiego życia staje się często powodem odejścia człowieka od Boga. Dlaczego nie jestem szczęśliwy, dlaczego ustawicznie cierpię — zapytuje niejednen i trudno mu znaleźć odpowiedź. Utało się mylne przekonanie, że człowiek już na ziemi powinien dostąpić chociażby wględnego szczęścia i spokoju. Tymczasem życie samo zadaje kłam podobnym zryzeniom. Olbrzymia większość ludzi ogląda szczęście tylko w jego przelotnej, efemerycznej postaci, olbrzymia większość umiera z istnym bagażem nie spełnionych pragnień, nie zaspokojonych tęsknot, z wizją szczęścia, które na ziemi nie istnieje. Katolicyzm jest wrogiem złudzeń opartych na naiwnej wierze w możliwość osiągnięcia pełnego, nieprzerwanego szczęścia. Szczęście najwyższe ukazuje na płaszczyźnie pozadoczesnej; na życie każde patrzeć pod kątem widzenia wieczności, pod kątem widzenia jego nietrwałości.

I tylko w takim ujęciu życie człowieka przestaje być bezładną na pozór i becelową bieżącą, nabiera sensu i wartości. Nie oznacza to jednak, aby człowiek na ziemi nie mógł być szczęśliwy. Katolicyzm nie jest wrogiem szczęścia. Uczy nas tylko właściwej oceny szczęścia doczesnego, wykazuje jego znikomość wobec ogromu szczęśliwości pozaziemskiej i twierdzi, że absolutne szczęście możliwe jest tylko u Boga. Przekonanie o tym, że życie to wielka próba, przygotowanie do wieczności, stanowi istotny element katolickiego światopoglądu.

Tadeusz Haluch.

Pan wzywa do Stołu Pańskiego

Wielki i dobry Bóg stworzył nas i obsypał mnóstwem darów. Z nich zaś największym i najcenniejszym jest łaska uświęcająca. Przez nią bowiem otrzymujemy tajemnicze życie nadprzyrodzone, rzeczywisty udział w życiu samego Boga, stajemy się dziećmi Bożymi, jakby krew Boża płynnie w naszych żyłach.

Wszelka istota żyjąca potrzebuje jakiegoś właściwego sobie pokarmu. Jeden tylko Bóg sam sobie wystarcza, jest pełnią życia. Życie Boże w nas domaga się pokarmu nadprzyrodzonego.

Boski Zbawiciel ustanowił taki pokarm i wzywa do częstego, codziennego nawet przyjmowania go. Pokarmem tym jest Komunia św.

Sam też Mistrz z Nazaretu podał prawa tego nadprzyrodzonego jedzenia. Nazwał ten pokarm „Chlebem żywym” i postać powszedniego chleba wybrał dla Najśw. Sakramentu. Chciał nam przez to powiedzieć, że Komunia św. ma być dla duszy tym, czym jest chleb dla ciała. Chleb jest pokarmem zasadniczym, głównym, podstawowym, codziennym i koniecznym. Podobnie i Komunia św. w myśl życzeń Zbawiciela i wskazówek Kościoła ma być częstym, a nawet codziennym posiłkiem duszy.

Albo chleb, pokarm albo śmierć — takie prawo obowiązuje w życiu organizmu ludzkiego. Albo Komunia św. albo śmierć duchowa — takie prawo panuje w dziedzinie życia nadprzyrodzonego.

Józef Baranowski

PROCESJA

W harmonii dźwięków i barwie
Wiosennej, majowej zieleni,
Słońcem wyhaftowanej.
Wśród milczących kamienic,
W barwnych sztandarach kościelnych,
Które na wietrze łopocą.
W rozpromienionych spojrzeniach oczu
— idzie Procesja...
W obłokach kadzidłanego dymu,
A pod promiennym baldachimem
Rzeźbiona miłością i wiarą
Monstrancja słoneczna...
Śpiew serca wzrasta
Pod niebo
W miłujących spojrzeniach miasta.
Modlitwy — jak kolorowe
Wstążki na wietrze się chwieją —
Majem — rozkwitłej zieleni
Jak w barwie beztroskiej nadziei.

O, cudzie łask niepojęty
O, wszechpotężna istoto
Zaklęta w okrucieństwa
Boskiej miłości
W szczodrym uśmiechu nieba.

O, niezmierzona dobroci —
Wiara — która jest serca puklerzem
Twardszym nad skałę.
W rytm serca spleta Ci wiersze
Hymnem:

TWOJA CZEŚĆ CHWAŁA!

dzanego. Na potwierdzenie tego wyraźne słowa Jezusowe wzięte z obietnicy ustanowienia Najśw. Sakramentu: „Jam jest chleb żywy, który z nieba zstąpił. Jeśli kto pożywać będzie tego chleba, żyć będzie na wieki; a chleb, który Ja dam, jest Ciało Moje za żywot świata... Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam: Jeśliżycie nie jedli Ciała Syna Człowieczego i nie pili Krwi Jego, nie będziecie mieć żywota w sobie. Kto pożywa Ciało Moje i pije Krew Moją, ma żywot wieczny, a Ja go wskreszę w dzień ostatni.”

W Wielki Czwartek na ostatniej Wieczerzy przemienił Chrystus Pan biały pszeniczny chleb w Ciało swoje i dał polecenie: „Bierzcie i jedźcie, to jest Ciało Moje”.

Dobrze zrozumieli Chrystusa Pana Apostołowie i chrześcijanie pierwszych wieków. Św. Justyn męczennik z pierwszej połowy drugiego wieku opisując Mszę św. podkreśla, że z konsekrowanych, przeistoczonych darów udzielano każdemu z obecnych. A więc wszyscy uczestnicy Mszy św. przystępowali do Komunii św. Obowiązywała wtedy zasada: Nie ma Mszy św. bez Komunii św. wszystkich wiernych. Tu u Stołu Pańskiego było źródło ich mocy, siły i nieustraszonego męstwa.

Św. Teresa od Dzieciątka Jezus wyraziła piękną myśl, że nie po to Jezus zstępuje z nieba na ołtarze, aby przebywać w złotych czy srebrnych puszkach. Tabernakulum i te puszki mają

być tylko stacją przejściową, a końcową dusze i serca ludzkie. Na początku dwudziestego wieku żalił się Chrystus Pan do siostry Benigny Konsołaty, że tak pragnie, że tęskni za tym, by ludzie przychodzili często do Komunii św., a oni sobie nic z tego nie robią.

O jakże często, niestety, jeszcze i dzisiaj powtarza się historia podana w urywku ewangelicznym niedzieli w oktawie Bożego Ciała. Pan wzywa, zaprasza do Stołu Pańskiego, a zaproszeni nie przychodzą, tłumacząc się: „Ja nie mam czasu na częstą Komunię św. Ja nie jestem godny.” Są tacy, którzy przekraczają ostateczną granicę i nawet raz w rok w okresie wielkanocnym nie przychodzą do Komunii św. Inni uważają Komunię św. za odświętną ucztę i z wielkim trudem przychodzą na wielkie uroczystości raz, dwa razy w roku i skazują się na głód duchowy.

Pan wzywa do Stołu Pańskiego. Pójdźmy za tym wezwaniem: Komunia św. niech się stanie częstym pokarmem naszych Krwi Zbawiciela odkupionych dusz!

Ks. Musiel Fr.

Marian Jamrozik

Zwycięstwo Serca Jezusowego

O. Mateo, gorliwy krzewiciel czci Serca Pana Jezusa podaje w swoich pismach wzruszający przykład apostołstwa uwiecznionego cudem nawrócenia:

Byłem świadkiem uderzającego nawrócenia, o jakim zapomnieć nie mogę.

Pewien nieszczyśliwy ojciec rodziny był bliski śmierci. Powracał on do Boga z daleka, z bardzo daleka... i wówczas dopiero przystępował do pierwszej Komunii świętej wraz z żoną i trojgiem dzieci... W kątku kłębała pokorna kobiecina kucharka; płakała ze wzruszenia. Nagle wstała, podeszła do łóżka umierającego i rzekła czule: „Panie łaskawy, czy pozwolisz twej starej kucharce ucałować rękę twoją w tej tak pięknej i uroczystej chwili?” A gdy chory z niemałym wzruszeniem uściśnął ją serdecznie, wówczas dodała ona ze łzami: „Oto więcej niż 20 lat byłam czymś więcej niż biedną kucharką; starałam się być apostołem Serca Jezusowego!... Od dwudziestu lat ofiaruję Sercu Jezusa codziennie swoją Komunię, modły, cierpienia i ofiary z wielką miłością, prosząc Go, abym nie wstąpiła w próg niebios zanim nie ujrzę nieba t. j. zwycięstwa Serca Jezusowego w tym domu. Stało się. I oto oglądam wielkie zwycięstwo Jezusa; teraz, panie, umrzeć mogę spokojnie.”

Oto zwycięstwo Serca Jezusowego, odniesione za pośrednictwem kobiety, wierzącej w miłosierdzie tego Serca uwielbionego i oddanej bez zniechęcenia modlitwie i nauce.

Jaki to piękny i pouczający przykład! Idźmy i my do Serca Pana Jezusa z wiarą, gorącą miłością i wielką nadzieją. Jezus nas nie opuści, ale wysłucha nasze prośby i nam pomoże.

Autor pieśni: „Chwalcie łąki umajone”

Ks. Karol Antoniewicz 1807-1852

Już z daleka widać przysadziste wieże pocysterskiej kościoła w Obrze w Wielkopolsce. Tutaj spoczywają doczesne szczątki wielkiego misjonarza ludowego ks. Karola Antoniewicza. Jedyne pomnik z marmuru wmurowany w filar na prawo od wejścia do kościoła mówi o nim. W górnej części pomnika umieszczone jest popiersie wykute z białego marmuru, przedstawiające kapłana w komży i stole. Na niejednym widzu wyraz kapłańskiej twarzy robi głębokie wrażenie. Ks. Karol Antoniewicz swoim przykładem i płomiennym słowem, gdziekolwiek pracował czy na Śląsku czy w Poznaniu, stał się tematem rozmów starszych i młodszych.

Przyjrzyjmy się ścieżkom jego życia. Urodził się w roku 1807 w Skwarzewie z ojca Józefa, adwokata, i matki Józefy z Nikorowiczów. W roku 1827 ukończył studia prawnicze i wrócił do Skwarzewa na gospodarstwo. W roku 1832 założył ognisko rodzinne, wstępując w związku małżeńskie. Ale błogosławieństwo Boże nie zawsze objawia się w doczesnej pomyślności. Opatrzność Boża miała względem Antoniewicza inne zamiary, niż te, które on sam chwilowo żywił. Oto zaczęły się rwać więzy łączące małżonków z światem. Czworo ich dzieci spoczęło na cmentarzu w Skwarzewie. Pojeli teraz, że Bóg chce, aby wyłącznie Jemu oddali się na służbę Bożą. Niedługo potem żona Antoniewicza zapadła na chorobę płucną i zmarła. Antoniewicz wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, odbył studia teologiczne i dnia 10 września r. 1844 odebrał święcenia kapłańskie z rąk biskupa Gutkowskiego.

Przez całe swe życie kapłańskie pała gorącą miłością dla wszystkich nędznych i utrapionych. W r. 1845 dopuścił Bóg klęskę powodzi na Nowy Sącz i całą okolicę. Antoniewicz wzywał w Nowym Sączu do składki na dotkniętych powodzią, zaczynając od słów apostoła Jakuba (1, 27): „Nabożeństwo czyste i niepokalane u Boga Ojca to jest, nawiedzać sieroty i wdowy w ucisku ich, a siebie zachować niezmazanym od tego świata” lub od psalmu XI, 2: „Błogosławiony, który ma baczenie na potrzebnego i ubogiego, w dzień zły wybawi go Pan”. Z niesłychaną ofiarnością działał wówczas na ambonie i w konfesjonale w okolicy Tarnowa k/Bochni. Słowa jego, płynące z serca przepełnionego najczystsza miłością Boga i bliźniego, skruszyły najzwardziałszych przestępców.

Dokonawszy olbrzymiego dzieła zagrożony chorobą płuc, musiał wyjechać dla poratowania zdrowia na Huculszczyznę, a następnie na Śląsk. Zdrowie było nadwyre-

żone misjami i pracą pisarską. Po kuracji, jadąc z powrotem do Małopolski, wstąpił do Piekar Śląskich. Bo i jakże mógł ominąć to miejsce i nie pokłonić się Matce Boskiej? Przed Jej obrazem modlił się król Jan III, gdy szedł na odsiecz zagrożonemu Wiedniowi. W połowie wieku XIX działał w Piekarach ks. proboszcz Alojzy Ficek, kapłan wielkiej cnoty i pracy, wysoce poważany na całym Śląsku. Dom jego był dla wszystkich gościnnie otwarty. U ks. Ficka spędził Antoniewicz narazie tylko jeden dzień, niedzielę i wyjechał do Tarnowa. Jednakże już w listopadzie tegoż samego roku 1848 spotykamy go znowu na Śląsku, w Raciborzu, skąd w drodze powrotnej wstępuje do Piekar, aby tam spędzić znowu tylko jeden dzień. Wrażenia stąd opisał później w dziełku pt. „Jeden dzień w Piekarach”. Zamierzał wówczas napisać historię cudownego obrazu piekarskiego, czego jednak nigdy nie uskutečnił.

Dnia 3 grudnia 1848 r. odjechał z Piekar do Krakowa na czas krótszy. Kraków był ważnym etapem jego trudu apostolskiego. Od lipca r. 1850 przebywał tam przez kilka miesięcy, bo aż do marca 1851. Z kazań ks. Antoniewicza najlepsze są tzw. krakowskie, głoszone w kościołach tamtejszych po pożarze miasta. Szereg kazań, które wygłosił w zgorzłych świątyniach, podziałały na lud kojąco, wzbudzał w rozpaczonych ufność i skłonił do ofiarności na odnowienie świątyń.

W kazaniach Antoniewicza spotykamy odtąd wiele budujących przykładów z życia i dzieł ojczystych, a przede wszystkim żywotów naszych polskich świętych. Kościoły były przepełnione a wymowie kościelnej otwierały się za przykładem Antoniewicza szersze widnokręgi wychodzące daleko poza zwykły szablon tematu i moralizowania.

W r. 1851 Antoniewicz opuścił Kraków i udał się do Piekar na Śląsku, aby zrealizować dawną już myśl i pragnienie ks. Ficka, odprawienia misji na Śląsku. W gwałtownym życiu Piekarach, pod opieką gościnnego gospodarza ks. Ficka poczęli się gromadzić i porozumiewać nad tą dziedziną pracy apostolskiej wybitniejsi kapłani Towarzystwa Jezusowego: młody Kamil Prażaszewski, Iwo Czyżowski, pieśniarz i literat wytrawny misjonarz Skrocki, i stary weteran Karol Snarski, Andrzej Peterek, Teofil Baczyński, Stefan Załęski, a duszą wszystkich był Karol Antoniewicz. Już poprzednio napisał książeczkę pt. „Misja wiejska”, która otrzymała dnia 18 czerwca 1851 roku imprimatur kurii krakowskiej, a miała na celu przygotowanie duchowieństwa. „Oto wielkie zadanie misji” — pisał Antoniewicz: „Pierwszym jej zadaniem jest wyłożyć tajemnice wiary św., do tego zaś użyć wypada nauk katechizmowych. Drugim zadaniem jest to, aby rozebrać sumienie i wejść we wszystkie stosunki i obowiązki życia, i przykazania Boskie zastosować do życia praktycznego. Do tego posłuży wykład nauki o sakramentach św. Po trzecie trzeba nakłonić wolę do uskutecznienia tego wszystkiego, co Bóg od nas wymaga przez wstrząśnienie sumienia w grzesznikach,

obudzenie żalu i skruchy za obrazy Bogu wyrządzone, utwierdzenie w dopełnieniu powziętych dobrych postanowień, i to uskutecznić za pomocą dobrej spowiedzi. Tu zbawienny wpływ wywrzeć może wykład i przypomnienie prawd wiecznych i rzeczy ostatecznych. Taka misja i na rozum i na serce i na wolę działać powinna... Zadania te spełni misja w przeciągu 8 dni Wstępna nauka jest w sobotę wieczorem. Z spowiedziami — polecał Antoniewicz — lepiej jest wstrzymać się aż do ukończenia misji. Nauka ostatnia jest podczas sumy niedzielnej. Popołudniu nastąpi po nieszpórach poświęcenie i założenie krzyża misyjnego.”

W lipcu r. 1851 przystąpił Antoniewicz do rozpoczęcia misji na Śląsku. Zaczęli je od Piekar, ważnego środowiska w rozwoju życia religijnego na Śląsku. Następnie odbyła się misja jeszcze w Tarnowskich Górach, Woźnikach, Biskupicach, Mysłowicach, w Pszczynie, Toszku, a skończono ją w Bytomiu dnia 9 listopada tegoż roku. Wszędzie Antoniewicz i jego współpracownicy zachęcali lud do wstrzeźliwości od trunków alkoholowych.

Z wiosną roku 1852 zawitali Antoniewicz i pomocnicy jego do Wielkopolski, począwszy od Krobi odprawiali misje bez przerwy. We wielu miejscach, gdzie przybyli grasująca cholera dziesiątkowała ludność. Tam Antoniewicz i pomocnicy jak bracia szpitalni i ciała nieśli ulgę. Nie dziw też, że ks. arcybiskup Przyłuski, oceniając ich zasługi oddał im na mieszkание opuszczony klasztor w Obrze w pow. wolsztyńskim. Z początkiem listopada tegoż roku po krótkim pobycie w Małopolsce zdążył ks. Antoniewicz do klasztoru do Obry. W niedzielę witał zebranych w kościele klasztornej parafii. Całe kazanie, jakby w przeczuciu śmierci, było jednym dziękczynieniem składanym Bogu za wszystkie dobrodziejstwa. Tak ten mąż Boży swoją pracę apostolską zakończył gorącą i rzewną mową dziękczynną. Tego samego dnia objawiły się pierwsze oznaki cholery, która w przeciągu tygodnia zmogła wyczerpany organizm. Antoniewicz zakończył życie w następną niedzielę po południu, dnia 14 listopada, w dzień św. Stanisława Kostki. Jak przez całe życie, krzyż chętnie dźwigał, jak wędług krzyża żył, tak teraz z uściśnieniem krzyża umierał, jeszcze w ostatnich chwilach poddając się woli Bożej budujących, co otaczali jego łożem: Stane pod krzyżem w tej chwili, gdy muszę Ze świata przenieść się w kraje wieczyste, Aby wołanie me złączyć z Twem, Chryste: — Ojcze, w Twe ręce oddaję mą duszę.

(ks. Antoniewicz).

Szczątki ks. Antoniewicza przeniesiono w roku 1930 do sarkofagu wystawionego staraniem O. Superiora Jana Nawrata i sumptem zgromadzenia Ks. Ks. misjonarzy Oblatów Marvi Niepokalanej, którzy tu mają obecnie swoje Wyższe Seminarium Duchowne. Ks. Antoniewicz w krótkim czasie spełnił swoje zadania życiowe, spalił się na ofiarę Panu, posiadłszy głębokie życie wewnętrzne. (K. W.)

Z pieśni maryjnej.

ŚWIĘTOŚĆ RADOŚCI ŻYCIA

O św. Franciszku z Asyżu

Postać św. Franciszka z Asyżu jest jedną z najpiękniejszych i najbardziej ludzkich postaci w bogatej galerii świętych Pańskich. Piszę — najbardziej ludzkich, bo chyba nie ulega kwestii, że świętość nie jest stanem zwykłym duszy ludzkiej, ale stanem będącym skutkiem ogromnego natężenia wewnętrznych sił duchowych i moralnych. Taki stan duszy ludzkiej nie jest zrozumiały dla każdego. Świętość jest ideałem każdego katolika, ale jakże daleko od niego jesteśmy. Mam tu na myśli świętość typu męczennika czy mistyka. Przeciwnemu człowiekowi bliższy jest taki typ o świętości, jaki reprezentują święci w rodzaju Franciszka z Asyżu. To znaczy świętość na zewnątrz niczym nie wyróżniającą się, świętość wewnętrzna czynów na pozór zupełnie zwyczajnych. Nie przesądzam tutaj oczywiście kwestii wyższości tego czy tamtego typu świętości.

Franciszkanizm, ten jeden z najplodniejszych duchowo-prądów religijno-społecznych średniowiecza, stanowi dla wielu ludzi źródło kapitalnych nieporozumień. Mowa tu przede wszystkim o ludziach stojących poza Kościołem nie umiejących czy nie chcących rozumieć istotną treść jego nauki. Równie urzekającym, co powierzchownym zarzutem, wysuwany przez przeciwników Kościoła, jest teza o rzekomej totalnej wrogości jego wobec wszystkich przejawów radości życia. Zarzut to mocno ograny, a przecież urzekający jeszcze wielu.

Pojawienie się św. Franciszka i głoszonej przezeń rehabilitacji prostej ludzkiej radości życia i miłowania przyrody jako dzieła rąk Bożych było na swoje czasy wydarzeniem nieledwie rewolucyjnym, a na pewno sensacyjnym, dla wielu wręcz niezrozumiałym i gorszącym. Wiek XIII — to szczególny punkt rozwoju średniowiecznej koncepcji życia, świata i człowieka, a zarazem to początek przesłania się epoki wieków średnich. Oficjalnie panuje wszędzie duch surowej, postępowej ascezy, podkreślonej ponawiającymi się coraz to wystąpieniami mistyków. Pod maską ascezy pulsuje inne, niewiele nam w istocie znane życie: na poły pogańskie, dopiero dochodzące do rzeczywistego przejęcia się duchem chrześcijaństwa, zepsucie, rozwiązłość, nadużycia społeczne i moralne możliwych.

Św. Franciszek nawołuje do powrotu do dawnego, ewangelicznego ubóstwa, prostoty życia pierwszych chrześcijan, do wyrzeczenia się zewnętrznego błahostwa i czczego blasku bogactw materialnych. Ale zarazem trafnie odgaduje jak bardzo sprzeczne z naturą ludzką są przesady egzaltowanej ascezy, jak bardzo zarazem powierzchowne i wcale nie sięgające do głębi ducha człowieka. Biedaczyna z Asyżu każe widzieć w przyrodzie i w ogóle w świecie nas otaczającym przede wszystkim dzieło rąk Bożych. Zrywa z sztucznym i abstrakcyjnym podziałem na państwo Boże i państwo szatana. Każe wczuwać się w proste, bezpośrednio piękno życia i przyrody, każe w nim czuć chociażby daleki i niepełny odbłask doskonałości Bożej.

Rehabilitacja radości życia i miłowania przyrody była rzeczą dla ludzi ówczesnych na ogół nie pojętą i budzącą opory. Podejrzliwi weszli w tym pogłos pogańskiego kultu doczesności i wieszczili herezję. Ale tu nastąpił fakt nieoczekiwany. Św. Franciszek, wbrew spodziewaniam sceptyków i niechętnych, poddał cały swój ruch ostrym rygorom posłuszeństwa wobec Kościoła, wobec Urzędu Nauczycielskiego w Kościele. Jak to znakomicie powiedział Roman Brandstaetter w swych pięknych „Kronikach Asyżu” (Książnica Atlas 1947): „(św. Franciszek) wiedział, że zespół ludzi, głoszących hasła ewangelicznego odrodzenia, pod żadnym pozorem nie może znaleźć się poza zasięgiem władzy kościelnej”. Posłuszeństwo naszego świętego wobec Kościoła było i jest jeszcze dla wielu ludzi czymś zgola niezrozumiałym. Woleliby oni widzieć w św. Franciszku buntownika w rodzaju Savonaroli. Bo św. Franciszek, głosiciel powrotu do ubóstwa ewangelicznego i zarazem rehabilitujący uczucia radości życia, jako wierny i posłuszny syn Kościoła — burzy tak rozpowszechnioną mistyfikację rzekomej sprzeczności między świętym Kościołem oficjalnym a nurtującym w nim, wbrew niemu, prądem odrodzenia życia religijnego. Idea odrodzenia Kościoła, realizująca się bez sprzeniewierzenia się istocie doktryny Kościoła, musi być ujęta w karby organizacji kościelnej. Rozumiał to doskonale św. Franciszek.

U źródeł prądu franciszkańskiego leżało, zdaniem Brandstettera, gorące pragnienie wolności. „Ubóstwo to wyzwolenie z materii i czerpanie ze źródła własnej duszy — powiedział św. Franciszek — to powrót świata do siebie. To wolność”. Wyzwolenie człowieka z krepujących jego wolność przeżywających się z resztą nam organizacji feudalnej, wyzwolenie z nalogów grubego materializmu życiowego, miało się realizować przez nakaz ubóstwa bezwzględного. To, co najchętniej i najczęściej cytuje się jako główne dzieło św. Franciszka i zapoczątkowanego przezeń ruchu franciszkańskiego — to zdecydowany zwrot ku autentycznemu pięknu przyrody i życia. Zwrot ten jest niewątpliwie ogromnie ważny, zapowiada nadejście nowej epoki, która w większym stopniu, niż to miało miejsce w średniowieczu — potrafi zrealizować chrześcijański postulat harmonii życia wewnętrznego, duchowego i zewnętrznego, cielesnego: harmonii, co nie znaczy równowagi. Ten element harmonii nie był z pewnością doceniany we wcześniejszych epokach historii chrześcijaństwa. Ze względów zresztą całkiem zrozumiałych; w pierwszej fazie rozwojowej chodziło o

wyraźne zerwanie z pogańskim stylem życia. Ale musiało kiedyś przyjść do wyrównania zaległości. Jako pierwszy czy jeden z pierwszych dokonał tego św. Franciszek.

Kiedy się czyta wspaniałe „Fioretti” — „Kwiatki św. Franciszka” — ten przepiękny pomnik literacki ruchu franciszkańskiego, ze szczególnym pietysmem przełomaczony na język polski przez Leopolda Staffa — dopiero wtedy można sobie uświadomić jak wielkim przewrotem dla ówczesnych musiał być ów Biedaczyna z Asyżu i głoszona przezeń nauka. Gdy jeszcze w tejsze epoki wysoko w cenie jest pogląd, że ciało ludzkie i w ogóle cała rzeczywistość materialna jest dziełem szatana i siedliskiem zła — słowa i działalność św. Franciszka i jego uczniów, tak nacechowane umiłowaniem życia i świata doczesnego — są zjawiskiem historycznie i ideologicznie niezwykle wybitnym.

Ale mimo swoją całą oryginalność czy wręcz rewolucyjność idee franciszkańskie nie są czymś oderwanym od całej dotychczasowej nauki Kościoła. Chrystianizm w swej istocie był zawsze i jest religią, która uznaje jedno źródło pochodzenia świata, życia i człowieka, a zatem wyklucza wszelkie poglądy ostro przeciwstawiające sobie „ducha” i „ciało”. Rzekomy dualizm ducha i materii leży przecież u podstaw herezji manichejskiej. Przedziwna dwoistość i jedność zarazem istoty świata: życia — rozwoju w płaszczyźnie doczesności dla przyszłości nadprzyrodzonej jest czymś zgola różnym od owego dualizmu manichejczyków. Franciszkanizm niezwykle trafnie odkrył, wcześniej niż inni, niebezpieczeństwo kontynuowania postawy pogardy dla doczesności jako takiej. Godne potępienia są przesady, ale nie doczesność jako taka, będąca przecież tworem rąk Bożych.

Jasne, promienne, pełne ufności w dobroć i mądrość Ojca Przedwiecznego było spojrzenie na świat św. Franciszka. Czyste, proste, szczerą pogodą ducha promieniująca z ruchu franciszkańskiego na całą społeczność chrześcijańską napawają nas ofuczą i wiarą w słuszność twierdzenia, że katolicyzm jest religią optymizmu. Optymizm to heroizm rodzący się z walki ze skąpaną grzechem pierwotnym naturą i zewnętrznymi oporami. Kamieniem próbnym heroizmu chrześcijańskiego w ruchu franciszkańskim był jego zakon ubóstwa i posłuszeństwa.

Zakończmy to krótkie rozważanie powrotem do myśli początkowej artykułu: do człowieczeństwa świętości — nazwijmy to tak — wielkiego Biedaczyna z Asyżu. Niezwykła prostota, zwyczajność i bezpośredniość to cechy św. Franciszka, którymi potrafił sobie ujmować swych najzaciętszych przeciwników i wrogów. Święty to nie postać z obrazka w modlitewniku, to człowiek taki jak i każdy z nas, ale umiejący skierować swój dynamizm duchowy w jednym kierunku zasadniczym, niekoniecznie usuwając się z życia doczesnego. Święty nie musi być pustelnikiem ani ascetą zewnętrznym w sensie tego wyrazu. Życzliwość dla ludzi należy także do obrazu cech świętego. Tylko, że wszystko podporządkowane być musi miłości najwyższej — tak jak u św. Franciszka z Asyżu.

W przedszkolu gorzowskim.

P O G O D A Ż Y C I A

W Danii świętuje się w tym miesiącu bardzo uroczyste kolejną, czterdziestą rocznicę urodzin najslawniejszego pisarza bajek dla dzieci, Hansa Christiana Andersena. Nie o nim chcę tutaj pisać, a tylko na przykładzie paru faktów z jego życia i z jego twórczości przejść zamierzam do zagadnienia wymienionego w tytule. Mało kto bowiem tak, jak właśnie Andersen uczył ludzi prawdziwej, pełnej pogody życia. A zdawałoby się, że warunki jego osobiste wcale nie powinny go były po temu usposabiać. Urodzony z ubogiego szewca z Odense, który go wkrótce odumarał i matki, praniem zarabiającej na utrzymanie, od dziecka poznał biedę, wyrzeczenie, ciężar odmawiania sobie wszystkiego, coż bowiem kupić można było prócz chleba za kilka z trudem zdobytych oreów? Dodajmy do tego swego rodzaju kalektwo, na które cierpiał, zanik mięśni, uniemożliwiający normalne poruszanie się. Mimo to jednak w utworach Andersena jest zawsze pełnia pogody życiowej. Nie osiąga on jej przez jakieś zamykanie oczu na biedę i nędzę, na krzywdę uciśnionych — wcale nie, podkreśla te sprawy, bohaterowie jego cudnych bajek to w pierwszym rzędzie biedni, upośledzeni, kalecy — tak ludzie jak zwierzęta.

W czym więc się krył optymizm pisarza, skąd czerpał on podniecie dla swej pogody w widzeniu świata? Krył się między innymi w wierze głębokiej, że nadejdą inne, lepsze warunki życia społecznego i politycznego, czasy, kiedy nie będzie już podziału na biednych i bogatych, lepiej i gorzej urodzonych. W przekonaniu wewnętrznym, najgłębszym, iż ludzie w zasadzie są dobrzy, uczciwi, porządni, że tylko zbiegi niefortunne okoliczności spychają ich na drogę zła.

A rada, jaką wysuwał Andersen, jedna z dróg, jakimi uważał kroczyć trzeba ku lepszej przyszłości? Leżała ona w jego głębokim przekonaniu, któremu pozostał wierny aż do śmierci zarówno w swym życiu

osobistym jak i w wspaniałej twórczości — że należy szerzyć wszędzie radość, pogodę i piękno, propagować najszerzej dobroć i miłość. W nich bowiem leży urok świata, one decydują o tym, czy człowiek pozostaje dobry, czy też daje się opanować złu. Propagandzie tej postawy w widzeniu świata poświęcił Andersen wszystkie swe siły. Mocą swego talentu wolał i niecił wokoło pogodę życia...

Pogoda życia. Pojęcie to jest jasne, nie wymaga tłumaczenia. Ale to, że jest jasne, proste, nie dowodzi jednak wcale tego, że można przechodzić nad nim do porządku dziennego, że nie trzeba się zastanawiać nad nim jak najczęściej, by wreszcie na stałe, naprawdę wprowadzić je we własne życie.

Naogół brak nam bowiem pogody życia. Ciągłe się martwimy, ciągle wyrzekamy to na swój los, to na jakiś zbieg okoliczności, który nam nie zezwolił na osiągnięcie zamierzonych celów, to na niemożność pozwolenia sobie na te czy inne udogodnienia codziennego bytowania. Ba, często nawet, gdy nie mamy jakichś większych kłopotów bieżących, po prostu wymyślamy sobie jakieś troski na przyszłość, na zapas niejako. Spójrzmy, wielu jest pośród nas malkontentów, zrzed, wiecznych wyrzekaczy. Trują życie sobie i innym, rozsiewają wokoło nastroje zniechęcenia i ponurości. Często sami nawet o tym nie wiedzą, przyzwyczaili się po prostu do tej swojej postawy wewnętrznej, często — i to już najgorsze — postawę taką mają tylko na zewnątrzny użytek — żeby, broń Boże, ktoś nie spostrzegł, że w zasadzie są oni zadowoleni z życia, a kryją to zadowolenie przed wymaginowaną przeważnie ludzką zazdrością. Są też i tacy, którzy zdają sobie doskonale sprawę ze swego usposobienia, sami z nim się złe czują, pragną walczyć, szukają jakiejś pogody w sobie samych, ale nie umieją znaleźć, nie umieją przełamać zatratę oparu nasiąkłych przez lata urazów, niechęci, niezadowolenia i narzekania. Ci są naprawdę

nieszczęśliwi, tym trzeba pomóc jak najszybciej, aby wydostali się z matni, w jaką uśidlali sami siebie.

Pogoda życia. Wróćmy znowu do Andersena. Każdy napewno zna i pamięta jedną z prześlicznych jego bajek o dziewczynce z zaparkami albo inną o chorej, niegrzecznej kaczuszce? Obie bajki mówią o istotach pokrzywdzonych, biednych, współczują im — ale jednocześnie rozsiewają wokół jakąś pełną optymizmu wiarę, że zło nie jest wieczne, że nawet najbiedniejszemu, najbardziej upośledzonemu dana jest jakaś radość życia, że zawsze i wszędzie, w każdych warunkach czerpać można pogodę z siebie i przelewać ją na innych. I bajki te są jednocześnie pełne pogody, udzielają jej czytelnikom; wcale przy tym, nie zapominając o wszystkim, co na świecie jest jeszcze złe, jeszcze niedoskonałe i krzywdzące.

Na życie trzeba patrzeć z głęboką wiarą, że niesie ono obok trosk i kłopotów wiele radości i piękna. Trzeba umieć zachować pełną ostrość widzenia, nie zacieśniać się tylko do szarych, ponurych horyzontów. Gdy zagłębimy się w naszych zmartwiegniach bez reszty, przestaniemy widzieć obok istniejące piękno i dobroć, miłość i przyjaźń. A wtedy naprawdę świat stanie się przytłaczający, życie omal że nie do zniesienia.

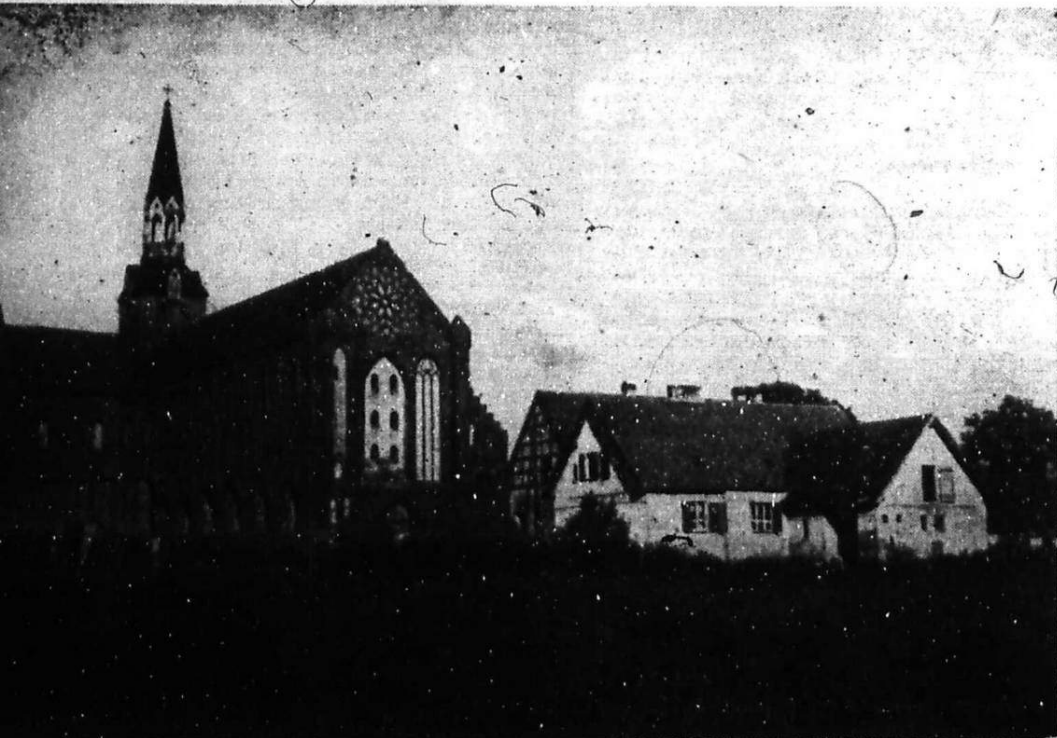
Katolicyzm jest religią optymizmu. Nie tylko dlatego, że obiecuje nam szczęście wieczne, o ile na nie zasłużymy w życiu doczesnym. Ale także dlatego, że stale i wciąż ukazuje nam na dobre cechy natury człowieka, na piękno jego duszy, na zasadniczą przewagę pierwiastków dobra nad złem. Przecież nawet największa boleść — śmierć Chrystusa — oprószona jest też największym tryumfem i radością Zmartwychwstania. Tym bardziej więc łatwo jest o utrzymanie stanu stałej pogody ducha wszystkim zjednoczonym pod duchowym sztandarem krzyża — symbolu Męki ale i symbolu największego, najradośniejszego zwycięstwa.

Człowiek ma w sobie wrodzoną skłonność do optymizmu, do pogodnego widzenia świata. Jeśli ją zatracą, to tylko z własnej winy. Sam zapędza się w ślepy zaułek, z którego tak trudno jest o wyjście. Czym bardziej staje się malkontentem, czym rzadziej na wargach jego gości uśmiech, tym też bardziej i inni odsuwają się od niego. Zostaje sam, na co znowu złorzeczy. Nie widzi swej własnej winy, nie widzi, że ludzie pragną radości i pogody, pragną uśmiechu zadowolenia, nie zaś ciągłego mątnictwa. Ma żal do ludzi, gdy naprawdę to powinien go mieć tylko do siebie.

I jeszcze. Praktyka nas uczy, pokazuje nam wciąż i niezawodnie, że troski nasze maleją, że kłopoty zmniejszają się, gdy potrafimy do nich podejść z wyrozumiałością, z pewną pogodą i poddaniem woli Bożej, ba, nawet gdy potrafimy uśmiechać się w okresie największych zmartwień. Uzyskujemy wtedy większą odporność, większą siłę do zwalczania niesprzyjających okoliczności.

Nie można dać się opanować przygnębieniu. Tyle zawsze znaleźć można rzeczy i spraw wokoło, które cieszą, które radują. Spójrzmy krytycznym okiem na własną postawę w stosunku do życia. Zaczniemy walczyć z własnym malkontentem, z własnym ponurym spojrzeniem. Zaczniemy się uśmiechać, cieszyć się wszystkim co dobre i piękne wokoło. Postawmy sobie jako hasło, jako wezwanie wewnętrzne: Więcej pogody, więcej uśmiechu, więcej radości.

P.



Widoki z Ziem Odzyskanych — Kolbač, kościół pöytäkirja



KARLINO

Opiekę duchową nad parafią sprawuje ks. proboszcz Franciszek Kaczmarek. Jest tu od początku, od kiedy znów życie polskie znalazło swoje przemożne ślady na prastarych ziemiach ojców.

Kościół objęto po protestantach. Świątynia ta ma jednak swoje piękne dzieje. Jest dostojną tradycją i powagą. Pierwszą świątynię na terenie parafii Karlino wybudowali katolicy już w roku 1219. Powstanie jej łączy się ściśle z drugą podróżą świętego Ottona z Kołobrzegu do Białogardu. Był to kościółek drewniany. Zniszczył go pożar. Na jego miejsce książę Mszczuj ufundował nową świątynię z jedną wieżą i jedną nawą. Później kościół ten rozbudowano i poszerzono. Szczególnie piękne są w karlińskim kościele gotyckie ławki i żebra sklepienia. Ciekawe jest presbiterium odchylone nieco od głównej osi kościoła na lewo, symbol schylonej na lewo w męce głowy Pańskiej.

Ostatnia wojna zniszczyła trochę dach na kościele i na wieży, okna i sprowadziła wiele innych uszkodzeń. Jednak kościół w całości zachował się. Przystosowano do katolickich nabożeństw, usunięto brzydkie balkony, odremontowano dach, naprawiono okna. Stały się trzy nowe ołtarze, konfesjonały, figura św. Antoniego. Jest w świątyni piękny obraz Chrystusa w Ogrójcu.

Ludzie z parafii karlińskiej pochodzą z całej Polski. Najwięcej jest ich z okolic Korcy. Na cele związane z potrzebami kościoła nie skąpią grosza. Ks. proboszcz w rozmowie z nami wyraża się o swoich parafianach dobrze. Z całą przyjemnością notuje ten fakt, ciesząc się bowiem zawsze, gdy kapłan chwali swoje owieczki.

Czasy powojenne wymagają wzmożonej pracy kapłańskiej, by niszczycielskie ślady wojny mogły być usunięte z dusz ludzkich. Temu celowi służą rekolekcje w każdym roku, które pogłębiają życie religijne parafian, przypominając ludziom ich podstawowe obowiązki wobec Boga i zasadniczy cel życia. Szczególnie wiele Bożych owoców przyniosły rekolekcje 10-dniowe, przeprowadzone przez OO. Dominikanów z Warszawy w bieżącym roku. Gromadziły rzesze wiernego ludu, zawsze chętnie słuchające Bożego słowa. Poprzez parafię przeszedł w tych 10 dniach rekolekcyjnej ciężkiej kapłańskiej pracy wiew Boży. Oby jak najdłużej zostały ślady tej pracy. Oby słowa Bożych sług wryły się jak najgłębiej w dusze parafian Karlina. (G)

LIPKI WIELKIE

Kościół parafialny w Lipkach Wielkich, to świątynia rromańska poświęcona w roku 1945. Duszę liczy parafia około 3.000. Proboszczem parafii jest ks. Rybicki Wacław, pracuje tu od 15. VI. 1946. Przed nim pracował w Lipkach Wielkich ks. Kilmm, obecny dziekan dekanatu gorzowskiego.

Element ludzki pochodzi z różnych stron Polski. Są tu ludzie z okolic: Koła, Poznania, Ciechocinka. Jest wielu repatriantów ze wschodu. Kiedy rozmawiam o nich z proboszczem, ks. proboszcz wyraża się o nich jak najlepiej.

Kościół w Lipkach Wielkich, to świątynia poprotestancka. Jest ładny. Wojna nie zniszczyła go. Trochę uszkodzona jest wieża. Dach kościoła wymagał pewnych remontów, które już uskutecznił. Ofiarności parafian sprawiła do świątyni duży obraz

Matki Boskiej Zwycięskiej w głównym ołtarzu. Jest to piękne dzieło sztuki, malowane przez p. Feninka, artystę z Wrocławia. Zbudowano dwa nowe boczne ołtarze, konfesjonały, ambone, chórągwie, urządzono zakrystię, wprowadzono światło do kościoła.

Kościół do obsługi jest aż siedem. Na jednego kapłana aż nadto starczy. W każdą niedzielę są trzy Msze św.

Dla zwiazania wiernych z Bogiem każdego roku odprawiane były rekolekcje w Wielkim Poście. Misje były w r. 1948, prowadzili je z wielkim nakładem pracy Ojcowie kapucyni z Gorzowa. Przyniosły wiele duchowych korzyści.

Do wydarzeń szczególnie ważnych i pamiętnych w roku ubiegłym należała uroczystość bierzmowania, dokonana przez Ordynariusza Gorzowskiego 8. IX. Sakrament bierzmowania przyjęło wtedy do 800 ludzi. Uroczystość wypadła wspaniale.

Odpust w parafii jest 8. IX. Każdego roku gromadzi wielu parafian. Obchodzony jest uroczystie.

Wierni uczęszczają do kościoła gorliwie. Do parafii należą miejscowości: Baranowice, Dobrojewo, Goszczanowo, Goszczanówek, Goszczanówek, Jastrzębnik, Lipczyn, Lipki Małe, Ludziesławice, Mąkoszyce, Polichno Nowe.

Życzmy parafii Lipki Wielkie jak najlepszego rozwoju. (GG)

KRAJENKA

Nad rzeką Głumią, w pow. złotowskim, a w województwie koszalińskim leży stare, bo jeszcze w 1420 roku założone przez Andrzeja Donaborskiego miasteczko Krajenka. Miasto odnowione w r. 1654 przez Andrzeja Grudzińskiego, w r. 1732 przez Józefa Działyńskiego, a wreszcie w r. 1751 przez Aleksandra Józefa Sułkowskiego, od początku swego istnienia zamieszkałe przez ludność polską i katolicką.

Dzięki niestrudzonej pracy wielkich Polaków i katolików ostatnich dziesięć lat przedwojennych, z tych ziem odwiecznie polskich, a zwłaszcza dzięki wysiłkom śp. ks. Domańskiego, patrona i opiekuna Polaków na tych ziemiach, oderwanych od Macierzy, Polacy i katolicy, zamieszkali tu, trwali zawsze wierni swej Ojczyźnie Polsce i Kościołowi katolickiemu.

Stare księgi metrykalne parafii Krajenka zachowały się od roku 1644 do roku 1835, podczas gdy nowsze księgi metrykalne aż do roku 1945 zaginęły w czasie działań wojennych.

Stary, bo z roku 1697 pochodzący kościół wybudowany był około 200 m na północ od dzisiejszego kościoła. Dzisiejszy kościół parafialny to przebudowane północne skrzydło zamku położonego nad rzeką Głumią, który to zamek książeczka Anna Sułkowska w roku 1774 na własny koszt kazała przebudować na dom Boży.

W czasie działań wojennych kościół ucierpiał wiele. Uszkodzona wieża kościelna. Wielką stratę stanowią zniszczone niemal zupełnie cenne witraże okienne.

Dziś katolicy w Krajeńce używają też kościoła poewangelickiego, który z napływem protestantów zwłaszcza z końcem XIX wieku do Krajanki, wybudowany został w roku 1847. Obecnie protestantów ewangelików w Krajeńce zupełnie niema, a stary kościół katolicki jest tak mały, że może pomieścić zaledwie połowę parafian w czasie głównych nabożeństw parafialnych. Parafia liczy obecnie ponad 3000 dusz.

Wiele kosztów włożyli parafianie w urządzenie kościoła poewangelickiego, przez wybudowanie dwóch nowych ołtarzy, elektryfikację kościoła i przez inne wkłady, by przybrać go na modłę kościoła katolickiego.

Daje się mocno odczuwać brak organów zniszczonych w czasie wojny.

Kościół i świat

— W Guatemali, jednej z republik Centralnej Ameryki, katolicyzm walczy obecnie z wielu trudnościami z powodu braku kapłanów. Ludność przeważnie indiańska, jest od dawna katolicka. Stare świątynie są tego dowodem. Lecz rząd nie pozwala na sprawowanie służby duszpasterskiej przez cudzoziemskich kapłanów; a tubylcy nie są w stanie podołać temu zadaniu, bo na trzy i pół miliona katolików jest tylko 140 kapłanów. Z tego powodu są tam parafie widujące zaledwie kilka razy do roku swego proboszcza, obsługującego olbrzymie przestrzenie kraju.

— Poświęcenie nart. Od 3 lat dokonuje arcybiskup w Chambéry święcenia nart. Narciarze gromadzą się w kaplicy Matki Boskiej Śnieżnej w La Feclaz (nad Chambéry), a arcybiskup po Mszy św. święci narty, posługując się formułą poświęcenia ułożoną przez papieża-alpinistę, Piusa XI, w której Bóg jest sławiony jako Stwórca piękna i ruchu. Pierwsze poświęcenie odbyło się w r. 1935. Po przerwie kilkunastu lat podjęto je na nowo. W dniu 11. II. br. odbyło się tegoroczne poświęcenie nart już w trakcie sezonu narciarskiego.

— Odnowienie Ławry Peczerskiej. Od paru lat trwają prace nad odnowieniem sławnej Ławry Peczerskiej w Kijowie. Jest to — jak wiadomo — stary (bo pochodzący z XI wieku) klasztor podziemny jaskiniowy. W nim żył między innymi słynny Nestor, pierwszy kronikarz ruskich z XII wieku, którego kronika ma duże znaczenie także dla historii Polski. Podczas zajęcia Kijowa przez armię hitlerowską Ławra Peczerska uległa zniszczeniu w dużym stopniu; w jej gruzach Niemcy szukali skarbów, niszcząc przez to jeszcze bardziej cenny zabytek. Wnet po zakończeniu wojny władze państwowe przystąpiły do odbudowy. Wiele robot już tam wykonano. Między innymi odnowiono dzwonnice klasztoru i ołtarz św. Jana. Cała odnowa ma być ukończona za 5 lat.

— 400 rocznica Kolegium Rzymskiego. W lutym obchodzona była w Rzymie 400 rocznica założenia słynnego Kolegium Rzymskiego, które później przekształciło się w Papieski Uniwersytet Gregoriański. Kolegium Rzymskie założone zostało przez św. Ignacego Loyolę w lutym 1551 r. celem udzielania bezpłatnej nauki gramatyki, humanistyki i doktryny chrześcijańskiej. Pierwszy budynek został zakupiony z funduszy św. Franciszka Borgiasza. W kilka lat później Kolegium przeniesione zostało do pałacu, gdzie znajduje się do dnia dzisiejszego. Było to zasługą Papieża Grzegorza XIII. Zakład wydał szereg świętych i błogosławionych między innymi Roberta Belarmina, św. Alojzego Gonzagę, św. Jana Berchmansa. Ojciec św. Pius XII przyjął z tej okazji profesorów i studentów Uniwersytetu Gregoriańskiego na specjalnej audyencji.

Życie parafialne w tej starej katolickiej i polskiej parafii wkrótce po zakończeniu działań wojennych weszło na normalne tory. Dziś parafianie z małymi i nieznacznymi wyjątkami biorą żywy udział w życiu parafialnym i duchowym Kościoła katolickiego. Przyczyną jednak należy, że wiele jeszcze należy uczynić, aby w pełni obudzić i rozwinąć życie duchowe.

Do parafii Krajenka należą następujące miejscowości: Annapol, Bartoszkowo, Czajcze, Dąbrowa, Leśnik, Śmierdowo, Zeleźnica.

Proboszczem parafii jest ks. mgr Zdzisław Iwański. (G)

Tam gdzie był ustanowiony Najśw. Sakrament



Na wieczerniku miały miejsce dwa najważniejsze wydarzenia ewangeliczne: ustanowienie Najświętszego Sakramentu i zesłanie Ducha Św. Koło tych dwóch wydarzeń grupują się inne pomniejsze.

W domu tym dwaj uczniowie Piotr i Jan przygotowali paschę dla Chrystusa. Tutaj to Chrystus Pan obmył apostołom nogi i ustanowił Najświętszy Sakrament Ołtarza oraz Sakrament Kapłaństwa. Zapowiedział tu Chrystus zdradę Judasza i zaparcie Piotra. Po śmierci Chrystusa wieczernik służył Apostołom za miejsce schronienia. Tutaj to bowiem pokazał się im Chrystus po swoim zmartwychwstaniu tego samego dnia wieczorem, a w osiem dni później wszystkim zgromadzonym Apostołom wraz ze św. Tomaszem, aby tego ostatniego nauczyć prostoty wiary. We wieczerniku zebrał się Apostołowie i uczniowie w liczbie 120 celem dokonania wybofu 12 apostoła na miejsce zdrajcy Judasza. W tym miejscu zstąpił na Apostołów Duch Św. w postaci ognistych języków, przy czym nawróciło się około 3000 Żydów pod wpływem kazania Piotra. W cieniu wieczernika — pierwszego kościoła katolickiego — dokonała dni swego ziemskiego pielgrzymstwa Matka Najśw.

Nic też dziwnego, że zagadnienie położenia wieczernika w Jerozolimie interesowało zawsze uczonych. Tymczasem istnieje koło niego dużo niewytłumaczonych tajemnic.

Ani Ewangelia ani tradycji nie zna nazwiska właściciela domu, w którym Pan Jezus polecił dwóm Apostołom przygotować Ostatnią Wieczerzę. Prawdopodobnym jest, że był on jednym z uczniów Zbawiciela, a będąc bogatym, po śmierci Zbawiciela, zgodnie z istniejącym zwyczajem, oddał całą swą majątność do rozporządzenia Apostołom na rzecz ubogich. Niektórzy nawet twierdzą, że był to dom ojca św. Marka Ewangelisty.

Według tradycji znajdować się miał w południowo-zachodniej części miasta świętego pod Syonem. Św. Epifaniusz (307—403) zaświadcza, że w roku 135 „chrześcijanie mieli jeszcze na miejscu wieczernika mały kościółek”.

W IV wieku obok Wieczernika wybudowano duży kościół, okolony murem. Pielgrzym armeński w V wieku opisuje: „Kościół na świętym Syonie, oddalony od Zmartwychwstania o jedno staję, jest długi 100

ellenów (około 50 m) i szeroki 70 ellenów (około 35 m); wewnątrz ma 80 kolumn, połączonych ze sobą łukiem. Z bardzo prostego sufitu z drzewa; zwisa cierniowa korona, którą Zbawiciel miał na głowie. Z prawej strony kościoła mieści się kaplica tajemnic z kopułą, w której można zobaczyć obrazowe przedstawienie sceny Ostatniej Wieczery. Również znajduje się tam ołtarz, na którym kapłani składają Przenajświętszą Ofiarę”. Niektórzy pisarze z IV i V wieku zaświadcza, że właśnie na Syonie znajdował się Wieczernik gdzie Chrystus ustanowił Najświętszy Sakrament Ołtarza. W ciągu następnych wieków aż do średniowiecznego ulegał kościół ten ciągłym przeróbkom, a ponadto istniał ciągły spór pomiędzy chrześcijanami-katolikami a innymi sektami a także mahometami, do kogo należy opieka nad tymże kościołem. Szczególną opieką otoczyli go krzyżowcy po zdobyciu Ziemi Świętej, odrestaurowując go w dawnych planach.

Zmieniło się położenie tego kościoła, kiedy na mocy bulli papieża Grzegorza IX przybyli do Jerozolimy w r. 1228 OO. Franciszkanie i objęli nad nim opiekę. W r. 1244 zostali oni wprawdzie wymordowani, ale w krótko potem osiedlili się tam na nowo, aby czynić zadość życzeniom Stolicy Papieskiej. Dochowało się do naszych czasów pismo z dnia 15 maja r. 1235, na mocy którego Małgorzata Sycylijska zakupiła ojcom za 1000 drachm srebrnych kawałek ziemi na Syonie, na którym miał stać Wieczernik. Ale ponieważ pomimo tego nie ustawały przykrości, zadawane ojcom przez mahometan, król sycylijski Robert Anjou wraz ze swą małżonką zakupił za 32.000 dukatów cały teren dawnego kościoła wraz z klasztorem. Własność została oddana Stolicy, a Stolica Apostolska oddała ją zaś pod opiekę po wieczne czasy OO. Franciszkanom.

(por. P. Barnabas Meistermann, Durch Heilige Land).

Złote myśli

Każdy chory jest dla nas wielkim wezwaniem bożym — podobnie jak każdy nędzarz, każdy cierpiący. Zdaże się krzyżem swym wołać do nas: pamiętaj, abyś nie zmarnował tego bólu, tego mego cierpienia, pamiętaj, abyś z niego wykorzystał, nieprzemijającą wiekiwartą wartość. Bo cierpienie nie istnieje na świecie tylko przypadkowo jakby przez omyłkę: zostało ono jak najściślej wplecione w nasze życie jako ogromnej wagi czynnik w tej

wielkiej łaski bożej, która się życiem naszym nazywa.

Św. Romuald.

Dobry katolik powinien czynić dobro wokół siebie bez rozgłosu, bez trąb własnej chwały, cicho i skromnie, jako najzwyczajniejszy czyn.

Powinien być zadowolony z losu, jaki mu przypadł w udziale, a przynajmniej znosić go cierpliwie i z podaniem woli bożej.

* * *

Jako katolik powinien się starać oddziaływać na swoje otoczenie siłą swojej dobroci i prawdomówności, obowiązkowości i silnej wiary. Na tym bowiem polega świeckie apostołstwo, by działać siłą dobrego przykładu, nie tylko słowami, ale całym życiem.

Maria Czeska-Mączynska.

KANDYDACI

DO STANU ZAKONNO-KAPLAŃSKIEGO
z maturą oraz

KANDYDACI DO STANU ZAKONNEGO
W CHARAKTERZE BRATA ZAKONNEGO

mogą się zgłosić do Nowicjatu OO. Oblatów
w Markowicach, pow. Mogilno (Wlkp.).

CHŁOPCÓW po skończeniu 7 klas szkoły podstawowej przyjmuje Niższe Seminarium OO. Oblatów — Krobia, pow. Gostyń, oraz do wyższych klas Niższe Seminarium — Lubliniec, Górny Śląsk.

ZAKON OO. DOMINIKANÓW

przyjmuje do nowicjatu

KANDYDATÓW NA KAPŁANÓW

z wykształceniem przynajmniej 9 klas.
Zgłoszenia kierować: OO. Dominikanie,
Poznań, Wały Jana III, 5.

DOTYCZY PRENUMERATY

W myśl ogólnie przyjętej zasady o abonowaniu pism przypominamy P. T. Czytelnikom Tyg. Katolickiego o przedpłacie — **Z GÓRY ZA KAŻDY MIESIĄC** o ile chodzi o prenumeratę pojedynczą, a **10 DNI NA PRZÓD** przy prenumeracie **ZBIOROWEJ**. Niedotrzymanie terminu spowoduje wstrzymanie wysyłki pisma.

Wszelkie sprawy dotyczące prenumeraty należy kierować do P. P. K. „Ruch” Poznań, Kantaka 8/9. P.K.O. V-11831/110.

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. **Redaktor:** X. Kazimierz Łabiński.

Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch” Poznań, ul. Kantaka 8—9.

P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł.

Tłoczono w Wlkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 699 — 4. 51.

K-2-17028 — 21. 5. 51. Druk ukończono 23. 5. 51.